

Adam Wlaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

97

Jurek zaczął szukać zapalek, przyczem rzucił na podłogę kilka książek.

— Panie Jurku, niech pan nie zapala! Ja już i po ciemku znalazłam kapelusz i przyszpiliłam...

Ale Jurek pudełko z zapalkami już znalazł i świecę zapalił. Przy świetle żółtawego płomyka okazało się, że Józia kapelusz włożyła zupełnie krzywo.

— A to że mnie zgrabna lala! Ładniebym wyglądała! Pa!... panno Tereniu... Do widzenia panie Jurku, do jutra!...

— Ja panią odprowadzę!...

Zawahała się.

— Ale nie pod sam dom, bo...

— Nie, nie, tylko kawalek... Sprowadzę panią z tych krętych schodów i przeprowadzę przez ulicę, bo tutaj tak pusto...

— Dobrze.

— Więc to postanowione... Pani jedzie jutro z Jurkiem do Krakowa? — rzuciła nagle pytanie Teresa — i to nocnym pociągami?...

— A jakże!

Józia i Jurek byli już za progiem, kiedy Larchówna gwałtownym ruchem zerwała się ze sofki.

— Pani Józiu!... — krzyknęła prawie.

Józia obróciła głowę.

— Pani chciała mi coś powiedzieć?

— Ech nie!... Nic już... Dobranoc. I jak najmilszej zabawy w Krakowie.

— Ja wpadnę jeszcze jutro do pani pożegnać się... Dobranoc.

Zamknęły się drzwi ze stukiem. Teresa sama została w pokoju. I tak głęboko osadzone jej ogromne oczy cofnęły się jeszcze więcej w głąb, widocznie w jakimś namyśle.

— Czego mam im psuć taką niewinną uciechę? — powiedziała po chwili głośno sama do siebie. — Ostrzegać? Po jakiego licha?... Lubię ją, ale nie jestem przecież jej niańką. Jest już także dorosła i... mężatka... Niech sobie radzi... Ja w jej wieku musiałam pracować nie tylko na siebie, ale na chorą matkę i na młodszego brata i szłam przez życie przebojem...

Zdmuchnęła dla oszczędności świecę i ułożyła się na sofce.

— A choćby nawet — myślała — może to dla niej... dla nich... Takie śliczne, dobre dzieci... Jak stworzone dla siebie... I po co to cudne małżeństwo lazło w łapy Konradowi Żarnickiemu. Po co?... A ja?... A ta biedna Jadzia Witowska... A tyle innych... El... najlepiej to tak po rosyjsku: napliwaj!... Psiakrew!... Jaka ja zmęczona i jak mnie ta głowa łupie... Och! wyspać się... wyspać raz w życiu dowoli...

Przymknęła powieki. Myśli płatyły się jej coraz bezwładniej. Zapadła w odrętwienie, które snem nie było jeszcze, ale lada chwila w sen przejść miało.

Z tego półsnu zbudził Larchównę odgłos kroków na schodach i nęgłosne, smętne, rzewne nucienie...

To Jurek wracał i przyśpiewywał żołnierską piosenkę:

W zimnej mogile spocznę ja,
Zostanie po mnie cicha łza...
Polskim żołnierzem zginąłem...
Tyś była moim aniołem...

W salonie pani Żarnickiej zapalono już światło.

Lola, jak zwykle wyprostowana i sztywna, siedziała na wąskiej kozetce, obok niej na okrągłym, pluszowym taburecie Władek Koszczyk.

Pani Żarnicka patrzyła nie na towarzysza, ale na perłowe guziczki swojej jasnej bluzki i spokojnym, obojętnym tonem mówiła:

— Już to każdy przyznać musi, że moja bratowa jest niezwykle piękna. Więcej nawet jak piękna, bo prześliczna, urocza... Ma w sobie jakiś neodparty czar...

— Czyżby aż tak? — ze sceptycznym uśmiechem zauważył Władek. Nie rozumiał celu tej rozmowy o wdziękach pani Konradowej, a pamiętał dobrze o zasadzie, że przed młodą kobietą nie należy się zachwycać nigdy pięknnością innej, choćby ta była jej siostrą, a nie tylko bratową.

— Pan nie znajduje? Gotowam pana do prawdy posadzić o brak gustu.

— Przysłowie powiada, że nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba... — odparł, wymownym, znaczącym spojrzeniem ogarniając czarną główkę panny.

Usta Loli drgnęły lekkim uśmiechem, który po anemicznych wargach przeleciał jak kłująca szpileczka.

— Tak... Ale istnieje inne przysłowie, że „nie zawsze to w myśli, co na języku...”

Koszczyk zmieszał się trochę.

— Jakto, pani mnie posadza!...

— Ależ nie... o nie, nie posadzam... Skądże... O! tak sobie powiedziałam, bez specjalnej myśli...

— Czyżby podejrywała, że kocham się w tamtej? — błysnęła Władowi myśl. — Byłaby za zdrosną?...

Przypuszczenie to, równie pochlebne dla jego męskiej próżności, jak pocieszające dla zamiarów matrymonialnych, sprawiło mu dużą przyjemność.

Mimowoli spojrzął w ustawione naprzeciw wielkie lustro i poglądał swoje siarannie wypiełgnowane wąsy.

Krótką chwilę panowała cisza, którą przebrała Lola uwagą:

— Pan Łuniewski zato w zupełności podziela mój gust, przynajmniej jeżeli chodzi o bratową.

— Hm...

— No, może nie?

— Nie wiem, proszę pani.

— Albo pan udaje nieświadomość...

— A eż...

— A może pan jest zdania, że z młodą panną nie można mówić o tem, że się tam komuś mężatka bardzo podoba...

Władek nie wiedział, co odpowiedzieć. Niepokojnie obracał się na taburecie, czując, że go Lola wyciąga na słowa, a nie rozumiejąc, jakie ma ku temu powody i cel.

— Kiedy ja doprawdy nie rozumiem pani...

Lola zaśmiała się cicho.

— Pan mnie uważa za bardziej naiwną, niż jestem. Niechże pan nie będzie nudny, bo pan nie jest moją mamą ani ciocią... Ja i tak wiem, że się pan Łuniewski w mojej ślicznej bratowej podkochuje.

Koszczyk pojął, że nie wykręci się od odpowiedzi, więc zdecydował się powiedzieć to, co w danej chwili myślał istotnie.

— Jeżeli mam być szczerym, to i mnie się tak zdawało, ale...

— Ale co?... — podchwyciła Lola żywo, z tak niezwykłym u niej zainteresowaniem, że gdyby Władek był biegłym obserwatorem, to musiałby uczuć mocne niezadowolenie.

— Ale teraz przestało mi się zdawać.

— Dlaczego?

— Widzę, że się omylił, i to bardzo...

— Z czego pan tak wnosi? — indagowała dalej panna Żarnicka.

— Bo Jurek, nie dalej jak wczoraj, wyrażał się o pani Konradowej z pewną, powiedziałbym, niechęcią...

— Co mówił?... Co?... — pytała Lola, nie podnosząc oczu na Koszczyka.

— Ach! On jest taki dziwak... I jego pojęcia o kobietach wogóle...

— Jednakowoż, co mówił?...

— Pani może powtórzyć bratowej i ona słusznie pogniwa się.

— Nie powtórzę napewno. Może pan być spokojny. Ale chcę wiedzieć.

W Koszyczku zwyciężyła wrodzona mu żyłka plotkarska. Cemuż nie ma powiedzieć, jeżeli Lola jest tak ciekawa.

— Jeżeli pani chce koniecznie wiedzieć, to powiem, ale w największym sekrecie... Jurek nazwał żonę brata pani kokietką i to bezduszną. Nie ma racji, oczywiście, ale on jest zdziwaczalą...

— Oczywiście... — powtórzyła Lola. Jedna rzecz stała się dla niej w tej chwili zupełnie jasną i niewątpliwą. Józia odrzuciła Łuniewskiego.

Ryło to dla Loli słabe zadośćuczynienie, ale w każdym razie pewne zadośćuczynienie. Nie zmniejszyło jednak żalu i niechęci do mimo-wolnej rywalki.

— Zlekka się Konrada, mamy, opinii... — myślała o Józii, broniąc się przed tem, aby jej nie podsuwać pobudek czystszych, szlachetniejszych.

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Mama wraca... — powiedziała Lola i podniosła się z kozetki.

— — — — —

Józia, lekko zapukawszy, weszła do pokoju, w którym pani Żarnicka, schylona nad głęboką szufladą komody, wybierała bieliznę do prania.

— Czego?... — zapytała krótko, nie patrząc na synową.

— Przyszedłam powiedzieć, że dzisiaj, wieczornym pociągami, jadę do Krakowa, do ojca.

Pani Żarnicka przestała liczyć brudne serwetki i utkwiła swoje przenikliwe oczy w Józii. We wzroku jej mignęło coś, jak radosne zdziwienie.

— Jedziesz do ojca?... Nareszcie przypomniałaś sobie o nim. A na jak długo?

Józia zawahała się chwilę z odpowiedzią.

— Prawdopodobnie na kilka dni, może na tydzień — wyrzekła jakimś trochę niepewnym tonem.

— Tylko?... O, nie potrzebujesz się tak bardzo spieszyć z powrotem. Możesz zostać i dłużej.

Usta Józii zadrgały, ale nie odpowiedziała ani słowa. W milczeniu obciąła się ku drzwiom. W progu zetknęła się z Lolą. Oczy pani Żarnicka błysnęły. Józia przeszła obok szwagierki, jakby jej nie widziała.

— Czego ona chciała od mamusi? — zapytała Lola, kiedy za Józją zamknęły się drzwi.

— Jedzie dzisiaj wieczorem do Krakowa. Powiada, że do ojca.

Lola drgnęła nerwowo.

— Mamusia jej pozwoliła?

— A dlaczegożby nie miała — odpowiedziała matka z zagadkowym uśmiechem — niech sobie jedzie... owszem, niech sobie jedzie.

— Do ojca, albo do kogo chce — dodała po chwili.

— — — — —

Poczekalnia i zarazem sala restauracyjna kolejowa, do której Jurek wprowadził Józję, natłoczona była pasażerami, oczekującymi odjazdu nocnego pociągu do Krakowa.

Powietrze było ciężkie, duszne, zgęszczone, przestłonięte mgłą tytoniowego dymu.

Dwie zaspane kelnerki, w brudnawych fartuchach, roznosiły gorącą herbatę, wódki, lampki wina i skąpe „wojenne” przekąski.

Najczęściej zmierzały do środkowego, dość długiego stołu. Siół ten, poplamionym obrusem nakryty, obsadzili miejscowi goście, gromadzący się tutaj zazwyczaj co wieczora, po zamknięciu wszystkich lokali w mieście.

Przyzdyalne miejsce zajmował burmistrz Łykowa, zarazem właściciel największego sklepu korzennego, koło niego grupowała się „śmietanka” inteligencji łykowskiej: aptekarz, sędzia, adwokat, prezes Kaszaliński. Osobny „blok” tworzyło kilku niższych urzędników magistrackich i sądowych. Obie te grupy zachowywały się względem siebie z pewną sztywną rezerwą, która topniała i rozluźniała się w miarę wychylanych „kolejek”. Pośrednie niejako ogniwu stanowili: okragły i rumiany pan Adamski, znany wyga, pieczeniarski i synekurzysta i Władek Koszczyk, który ujmował sobie wszystkich niefrasobliwym humorem i miłym obejściem „dobrego chłopca”.

Na uboczu nieco siedział Łuniewski, mało mówny, chmurny, z błyskami ironii w swoich lekko przymrożonych oczach krótkowidza.

— Powiadają wam, moi panowie — perorował burmistrz — że w naszym mieście dzieją się tajdactwa!... Poza moimi plecami dzieją się tajdactwa!

Grzmotnął pięścią w stół tak silnie, że trochę czerwonego grzanego wina wylało się z wysokiej szklanki na obrus. Aptekarz, wytworny, pachnący i dbały niezmiennie o dobre maniery, skrzywił usta z niesmakiem i odsunął nieco swoje krzesło od tak energicznie gestykulującej „głowy” miasa.

— On się dlatego tylko tak gniewa, że dzieją się poza jego plecami, więc nic z tego skorzystać nie może... — szepnął pan Mizerski do ucha panu Kozuchowskiemu.

— Szajka jakichś nieznanych, tajemniczych spekulantów chce nas ogłodzić, panowie!

— O znanych nie mówi się!... — szepnął znowu pan Mizerski tym razem do pana Wichury.

— Naprzykład słonina? Panowie! Gdzie podziła się w Łykowie słonina? Albo ocet?... Nigdzie octu dostać nie można!... Jaj brakują!... Łotry!... Spekulują na naszych żołądkach!...

Po niektórych twarzach przemknęły dyskretne